

Krótką historia z wyjazdem na V Zjazd Krygowskich w Krynicy Zdroju w dniach od 29.07.2010 do 01.08.2010

Środa 28.07.2010

Rzeczy na wyjazd miałem już spakowane we wtorek wieczorem, 27 lipca. W środę z samego rana, zapakowałem się do auta i wyruszyłem w monotonną drogę z Hamburga do Poznania.

Koło południa dojechałem do Mamy mojej żony Ulki w Poznaniu, gdzie miałem spędzić noc przed dalszą podróżą. Po odświeżeniu się i wzmocnieniu pyszną zupą pomidorową skoczyłem jeszcze na miasto by załatwić to i owo. Wymiana euro na złotówki, picie i owoce na drogę i takie tam drobiazgi.

Tuż przed obiadem wpadła dość niespodziewanie koleżanka siostry Uli. Było sporo do opowiadania, bo nie widzieliśmy się już długie lata.

Z moją Mamą umówiłem się, że następnego dnia, w czwartek, z samego rana ją zabiorę w dalszą podróż. Jak się rzekło, tak się i stało.

Czwartek 29.07.2010

Już koło 5:00 nad ranem byłem na nogach, bo nie mogłem już dalej spać.

Przepakowałem nieco moje rzeczy, i po dużej jajecznicy z pomidorami, pożegnałem się z Teściową by pojechać po Mamę. Wcześniej krótko tylko jeszcze do niej przedzwoniłem, że jestem gotowy i by miała dosyć czasu dla siebie.

Okolo 7:00 byliśmy już na autostradzie A2 z Poznania do Łodzi. Zaliczyliśmy chyba z 2 albo 3 bramki płacąc po 12 zł za kolejne etapy drogi. Sam przejazd przez Łódź nie był kłopotliwy, ale ciągle zatrzymywania na niezliczonych światłach kosztowało sporo czasu i paliwa! Wreszcie wyjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu z Łodzi na Katowice, tzw. Gierkówkę.

Jechało się bardzo dobrze. Nie było zbyt dużego tłoku i droga była do Śląska, w całkiem znośnym stanie. Gdzieś już za Częstochową zrobiliśmy sobie ok. 13-tej dłuższą przerwę na skromny obiad w przydrożnym barku, rozłożyliśmy się na wygodnych ławach przy dużym drewnianym stole, i wpałaszowaliśmy przygotowane przez Mamę pyszne kanapki popijając to całkiem smacznym żurkiem. A że pogoda nam sprzyjała, więc byliśmy dobrej myśli co do dalszej podróży.

Koło Sosnowca zrobiliśmy jeszcze tylko mały postój by tanio zatankować. Przez cały prawie Śląsk prowadzi szosa w bardzo paskudnym stanie. Dopiero na autostradzie A4, to zrobiło się

normalnie.

Bardzo szybko zleciał nam ten kawałek trasy aż do samej Zakopianki, gdzie wpadliśmy na długi korek. Bo jak się później okazało, jakiś autobus leżał w rowie po prawej stronie. Krzątało się tam pełno strażaków i policjantów. No i dalej malowniczą trasą poprzez Mszanę Dolną, Limanową i Stary Sącz jechało się już spokojnie aż do samego ośrodka leśników w Krynicy Zdroju. W momencie jak wjeżdżaliśmy na parking przed świetlicą, zauważyłem już w oddali na schodach prowadzących do recepcji charakterystyczną sylwetkę Marysi Zbyszkowej z Krakowa i jej obie córki. Było wtedy około 15-tej.

No więc jesteśmy cali i zdrowi u celu naszej podróży, po jakichś 9 godzinach włączenia się w poprzek Polski. Okazuje się, że Marysi Doniec z Rodziną jeszcze nie ma w ośrodku. Zadowoleni rozpakowujemy się i idziemy się zameldować do recepcji. Tu zastajemy Marysię Zbyszkową kończącą właśnie załatwiać formalności.

Już kilka dobrych lat się nie widzieliśmy, więc nasza radość ze spotkania jest ogromna, tym bardziej że jej obie córki pojawiły się po raz pierwszy na Zjeździe. Agata przyjechała wprost z lotniska. Leciała z Londynu. A młodsza Aleksandra przyleciała kilka dni wcześniej, wraz ze swym mężem z Chicago. Oj jak to było miło się spotkać ponownie.

Aleksandrę poznałem wraz z moją Ulką, już gdzieś koło roku 2002 w Krakowie. Zachowały się z tego spotkania jakieś zdjęcia z naszego wspólnego spaceru po Krakowie. A Agatę spotkałem na cmentarzu Rakowickim w 2003 roku, gdy były tam chowane prochy Zbyszka.

Oj lecą latka, lecą...

Tuż po nas zajechali Gałowie z Krakowa. To Monika mnie pierwsza wypatrzyła i z radosnym okrzykiem "Witek!" zamachała mi ręką ze schodów przed recepcją. Widzieliśmy się ostatnio w 2007 w Krakowie, gdy po IV Zjeździe wpadliśmy z Mamą do Krakowa i Monika nas wprowadzała po nieznanym zakamarkach Kazimierza.

Tak, takie spotkania są wtedy szczególnie miłe i intensywne, bo odzywają nagle i te dalsze i te nowsze chwile. Monika jest wspaniałym człowiekiem, i zawsze mi się z nią miło i interesująco rozmawia. Na sam początek naszego pobytu, to już całkiem niezła porcja wzruszeń.

Był już też Edek Krygowski z Futomy, z którym mam zawsze jakieś ciekawe rzeczy do obgadania. A to jakieś nowe ślady poszukiwań, a to sprawa powalonych nagrobków naszych najdalszych przodków Walentego i Piotra Krygowskich na starym cmentarzu we Futomie.

A tuż potem przyjeżdża Józek Kołodziej z Krakowa z całą chyba swoją rodziną. I z nim witam się bardzo serdecznie, bo od samego początku naszych Zjazdów jesteśmy zawsze na nich obecni.

Tak gdzieś koło 17:00 godziny zjechali Dońcowie z Krakowa. I zaraz zrobił się "ruch w interesie". Bo przecież trzeba te wszystkie przywiezione materiały gdzieś rozłożyć czy też powiesić. Po krótkiej ocenie udostępnionych nam do dyspozycji sal, postanawiamy rozłożyć to w salce w budynku Nr 3. Trzeba więc najpierw rozpakować te wszystkie materiały z bagażnika ich auta i przenieść do dużej salki.

Ręk chętnych do pomocy tu nie brakuje, każdy chwytą się za coś by ułatwić albo ten rozładunek, albo przy przestawianiu krzeseł i stolików, albo już przy układaniu eksponatów. Od pani kierowniczkii dostaliśmy zgodę, by przenieść z budynku recepcji do naszej salki, stojaki do pięknie przygotowanych przez Teresę Krygowską, plansz tematycznych.

Są tu i "collage" z poprzednich czterech Zjazdów, ale również bardzo ciekawe plansze poświęcone Zbigniewowi Krygowskiemu o jego dorobku architektonicznym. To był piękny efekt współpracy Marysi Zbyszkowej z Teresą Krygowską, która to wszystko opracowała graficznie.

Potem równie ciekawy temat to działalność Władysława Krygowskiego, autora między innymi bardzo popularnych przewodników turystycznych po polskich Karpatach. I tu był to owoc współpracy kilku zaangażowanych w tej tematyce osób. Od strony plastycznej była to Teresa Krygowska, a od strony merytorycznej wspomagał ją Jurek Doniec. To dzięki ich zapałowi, ten kącik Władysława prezentował się tak ciekawie.

Bardzo przejmujące były naprędce przygotowane plansze poświęcone pamięci rodziny Kołodziejów, z ich tragicznymi losami zsyłki po 1940 roku na Syberię. Dokumenty wybrane przez Joannę Preiss i Józka Kołodzieja zajęły prawie 4 plansze, które odsłoniły nieco, jakie to były straszne czasy tej niczym niezawinionej poniewierki.

Kolejne zaś plansze dokumentowały np. historię renowacji wykonanego z piaskowca, grobowca Antoniego Krygowskiego na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jest to piękny przykład działalności Stowarzyszenia Rodu Krygowskich, na rzecz ratowania pamięci naszych dalekich krewnych. To właśnie dzięki temu, udało się zahamować proces zupełnego zniszczenia tej wspólnej dla trzech naszych krewnych mogiły. Przy tej okazji, dołączona została informacja o zniszczonym grobie syna Antoniego, Stanisławie Krygowskim.

Gdy już wszystko zostało już jako tako rozłożone, udaliśmy się wszyscy do stołówki, na naszą pierwszą wspólną kolację. Nie było to coś nadzwyczajnego, ale chyba nikt głodny nie odszedł od stołu.

Po kolacji stwierdziliśmy z Mamą, że po tych 9 godzinach jazdy potrzebujemy nieco ruchu i musimy się przejść. I nadarzyła się okazja by z Agatą, Aleksandrą i jej mężem Tomem przejść się na stary cmentarz. Dlaczego właśnie tam, a nie gdzieś indziej? Otóż Agata pragnęła zobaczyć grób Nikifora, którego prace bardzo podziwiał i szanował, Zbyszek Krygowski, ojciec Agaty.

I tak to powoli poczłapaliśmy w kierunku centrum Krynicy, idąc wzdłuż ruchliwej ulicy Kraszewskiego aż do ulicy Cmentarnej. Tam wdrapaliśmy się stromą, wyłożoną płytami betonowymi, uliczką ku widocznemu już cmentarzowi. Było to już dość późno, i mieliśmy obawy czy bramka będzie jeszcze otwarta. Ale skończyło się tylko na strachu. Mama pamiętała, z wcześniejszych tu wizyt, że grobowiec Nikfora powinien być gdzieś z prawej strony od wejścia.

I tak też było. Najpierw się rozproszyliśmy wszyscy w różne strony i po chwili faktycznie tuż przy kaplicy odszukaliśmy ciekawy architektonicznie nagrobek artysty. Nie obyło się też bez obowiązkowych zdjęć. Jeszcze trochę się pokręciliśmy pośród starych grobów. Co nas ogólnie dziwiło, to mnogość dość krótkich nazwisk. Tych kończących się na "-ski" było jak na lekarstwo.

Z Agatą mogłem się swobodnie dogadać po polsku, ale z Tomem too już był mały problem. Bo moja znajomość angielskiego, ogranicza się raczej do pasywnej znajomości z zakresu literatury technicznej. A tu nagle trzeba się było dogadywać na tematy "filozoficzne" i używać różnych czasów ... oj było kiepsko wtedy z tym moim "angielskim". Ale jakoś udawało się nam dotrzeć do tej "prawdy" ukrytej w potoku mojego "Pidgin english".

Ta nasza wycieczka była więc i okazją by się nie tylko zapoznać z okolicą i historią Krynicy, ale by się i wzajemnie nieco lepiej poznać. I myślę, że wszystkim ten mały wypad zostanie w pamięci na lata całe. Tom skoczył jeszcze do sklepiku, by zabezpieczyć się na wieczór w coś do picia. Jako że on niechętnie popija piwko, więc kupioną butelczynkę mi podarował, a samemu zadowolając się chyba czymś mocniejszym.

Po przyjeździe do ośrodka, wyszło już to zmęczenie całego dnia. Tak, że każdy poszedł do swego cichego kąca.

Spałem jak ten suseł, wiec pewnie klimat tu sprzyjający a może ta cisza nieznana w dużym i hałaśliwym mieście?

Piątek 30.07.2010

Przed śniadaniem idę do naszej salki, by w spokoju obejrzeć wszystkie tu zgromadzone materiały. Najpierw przeglądam sobie albumy ze zdjęciami z poprzednich naszych spotkań. Jest tego dużo, pewne rzeczy odkrywam dla mnie na nowo. Sporo już gdzieś uleciało, więc taka "powtórka z rozrywki" bardzo mi się przydała. A te ze spotkań, gdzie mnie po prostu nie było, są istnym odkryciem. Dobrze, że Marysia Doniec o to wszystko zadbała, i to że mamy takie fajne małe "domowe" archiwum. Marysiu, głęboki ukłon w Twą stronę.

Potem oglądam te wspaniałe przez Tereskę przygotowane duże plansze, jakże to się pięknie

prezentuje.

Teresko, tu kłaniam się i przed Tobą równie głęboko. O ileż ubożej by to wszystko wypadło, gdyby zabrakło tego efektu Twej na pewno pracochłonnej pracy.

Śniadanie.... tu wreszcie widzimy się wreszcie w większej liczbie, chociaż mała grupa, że tak powiem "zdrajców" jest tu nieobecna i bawi się we własnym sosie.... Czy to tak ładnie?

No i zaraz zaczyna się napięty program dnia. Jako pierwsza, około godziny 10-tej z "hakiem" (nie wspomnę już dlaczego, by nie psuć krwi), prezentuje nam Monika Gała-Walczowska Krynicy Zdrój w aspekcie jej założeń architektonicznych i związanych z tym tematem różnych stylów budowlanych. Wszystko to ładnie ilustrowane z pomocą rzutnika, pozwoliło nam laikom wgłębić się nieco w te ciekawe tematy. Monika zebrała zasłużone brawa, za interesującą prelekcję powiązaną później ze spacerem po Krynicy Zdroju.

Ja z Mamą nie biorę w tym udziału, bo nasze plany każą nam pakować się do auta i jechać do oddalonej o jakie 10 km od Krynicy Zdroju, małej wioski Kamianna. Pewnie się co niektórzy będą temu dziwili, ale powód jest łatwy do zrozumienia. Otóż, już z Hamburga wiozłem ze sobą skrzyneczkę by w nich bezpiecznie przewieźć... tak tak tak, oczywiście ... wspaniałe miody.

Bo przecie, Kamianna to jedno z bardziej znanych miejsc, właśnie z powodu pszczelarstwa. Namawiałem jeszcze Marysię Krygowską i jej córkę Agatę, na wspólny wypad. Ale nie dziwię się, że wybrały spacer z Moniką po Zdroju, bo to dla córek coś nowego. Mamy tylko Marysi kupić mały słoik miodu spadziowego. OK, zrobi się...

Jedziemy więc sami malowniczą, pełną zakrętów drogą w kierunku na Grybów. W pewnym miejscu nagle się ten gęsty las rozstąpił, i po prawej stronie ku wschodowi, otworzyła się przepiękna daleka panorama. Każdemu kto lubi zawiesić oko na uciekających planach, na mgiełkach i górach, mogą spokojnie polecieć tę małą wycieczkę.

Sama barć leży w Kamiannej, nieco na wyniesieniu, tak że trzeba pokonać po stopniach ładną różnicę wysokości. Ale jak się powoli człapie, to nie jest to żadnym problemem. Na całe szczęście wycieczka autobusowa już opuściła sklep firmowy, tak że nie musimy z Mamą wcale czekać.

Wszystkie miody, które pragnęliśmy zdobyć są do kupienia. Skrzynka aż trzeszczy od ciężaru, ale jakoś wytrzymuje to obciążenie. Ostrożnie stąpamy po stopniach patrząc uważnie pod nogi, by nie utracić tego cennego towaru. Jest i spadź iglasta, i miód gryczany, i ten z wrzosu i nawet pierzga... Wracamy bardzo uradowani, i tą ładną wycieczką i przede wszystkim kupnem miódów. Bo te inne rodzaje, jak akacjowe, czy lipowe oraz rzepakowe, to jak co roku będę kupował u znajomego pszczelarza z okolic Gołuchowa. A więc to się udało...

Ale trzeba się nam spieszyć z powrotem, bo na 14-gą mamy obiad, a zaraz potem

zapowiedziany jest cały cykl referatów.

Tuż po obiedzie w drugiej sali zebraliśmy się, by wysłuchać pierwszego z nich, przygotowanego przez przedstawicielkę rodziny Kołodziejów, Joannę Preiss. Temat wydawałoby się, że bardzo odległy bo dotyczył 70-tej rocznicy deportacji na Sybir przez Sowiety. Ale jakże to wszystko nagle było aktualne, szczególnie w tym kontekście tegorocznej tragedii Katyńskiej. I tu z pierwszej ręki słyszymy jak się to wszystko odbyło, jak to Sowiety najpierw napadły na walczącą z hitlerowcami Polskę. I jak potem zaczęła się okrutna gehenna ludności polskiej, a w szczególności rodziny Kołodziejów. Gdy opowiadano o małym wtedy Józku Kołodziejcu, który siedział przecie pośród nas, to napięcie i wzruszenie osiągnęło chyba szczyt. Co nie którym trzęsły się ręce, inni dyskretnie ocierali sobie łzy. Tak, to był bardzo przejmujący i wzruszający odczyt. Taki kawałek żywej i namacalnej historii.

W następnym odczycie Izolda Miła przedstawiła pomysł uzupełnienia naszych dotychczasowych badań i poszukiwań powiązań pomiędzy rodami Krygowskich, poprzez testy genetyczne. Na świecie już od wielu lat są tego typu poszukiwania genealogiczne robione, i być może i u nas by się warto było temu przyjrzeć. Ciekawy pomysł, tylko że tu trzeba znaleźć chętne do tego osoby.

Bardzo krótkim wystąpieniem było wspomnienie Marysi Krygowskiej o jej zmarłym mężu, Zbyszku Krygowskim. Co miało być takim uzupełnieniem do wystawionych 4 dużych plansz z historią Zbigniewa oraz jednocześnie wstępem do bardzo pomysłowego collage o Zbyszku.

Pięknym muzycznym przerywnikiem tych referatów, była gra Michała Krygowskiego na gitarze. Przedstawił nam pięć wybranych przez siebie charakterystycznych stylów dla hiszpańskiego flamenco. Ależ mu to pięknie wyszło. Michale, głęboki ukłon i przed Tobą, za te ucztę dla duszy i ucha.

Po nim, przedstawił swój referat, tato Michała, Wiesław Krygowski z Tych. Tematem była historia emigracji ludności pochodzenia polskiego za Wielką Wodę. Było to bardzo ładnie "podane" przez Wiesława, jak to się odbywało i jakimi drogami docierali Polacy na odległy kontynent.

Referatem kończącym, było wystąpienie współpracującej już od przeszło 2 lat ze Stowarzyszeniem Iwony Dominek (Jakosz). Ta ujmująca osoba, z dużą furorą opowiedziała nam o biografii turystycznej Władysława Krygowskiego. A jako że przygotowując się do doktoratu musiała z racji tego tematu, przeglądać i zbierać wszelkie materiały o Władysławie, dała nam przy tej okazji piękny wgląd w część jego osobowości. Poznaliśmy w ten sposób to, czego nie daje się wyczytać z jego przewodników bez odrobiny refleksji nad sobą. I dla Iwony mój głęboki skłon... dziękuję.

Po wspólnej kolacji potworzyły się takie większe i mniejsze grupki tematyczne. Ja przysiadłem się z Marysią Krygowską do rodziny Gałów, gdzie popijając z wolna czerwone wino, udaliśmy się w podróż po tematach architektonicznych. Monika pod surowym okiem

Taty Mieczysława, prezentowała nam na laptopie, dorobek ich pracowni architektonicznej w Krakowie. Cały przegląd zabrał nam sporo czasu, ale za to pozwolił wyrobić sobie pojęcie o szerokim zakresie projektowanych obiektów. Od domków jednorodzinnych, bliźniaków czy szeregowców, aż po całe miejskie osiedla ze wszelaką infrastrukturą potrzebną do życia. Oraz cały szereg projektów z zakresu architektury usługowej, jak szkoły czy banki.

Gdy przywaleni zostaliśmy tymi różnościami architektonicznymi, nagłym "skokiem w bok" były bardzo interesujące zdjęcia z ostatnich podróży po Europie. Z Austrii i włoskiej Toskanii. I takim to miłym akcentem zakończyłem ten wieczór.

Ale inne grupki nadal debatowały, jedni na dworze a inni w budynkach.

Sobota 31.07.2010

Jeszcze przed śniadaniem ruszam z plecakiem w górę Czarnego Potoku, raz by się rozruszać a po wtóre by kupić cosik do picia i miejscowej kielbasy, która według mej Mamy jest tu przedniej jakości. Planowałem bowiem wyruszyć na mały turystyczny spacer, i chciałem mieć wtedy te rzeczy ze sobą, na wypadek gdybym nie zdążył zejść na czas na kolację.

Po śniadaniu podjechaliśmy wszyscy w okolice głównego deptaka, by stamtąd przejść pod Górę Parkową, do kaplicy w Parku Zdrojowym. Z nami jechała Stasia Wołosz (Mama Marysi Bielawskiej) z Krosna i Marysia Krygowska z Krakowa. Poszliśmy z parkingu koło poczty, głównym deptakiem razem z rodziną Dońców. Koło pomnika Adama Mickiewicza podeszliśmy dość długim podejściem po schodkach, aż pod samą kaplicę. Od "Witoldówki" podszedł Jan Krygowski ze swą rodziną, Józek Krygowski z żoną Tamarą, oraz zaprzyjaźniony ojciec Henryk, kapucyn i przeor klasztoru w Gorzowie Wielkopolskim.

Kapliczka okazała się mikroskopowych rozmiarów, tak że większość musiała pozostać pod gołym niebem. Na całe szczęście nie było tu ani za gorąco, ani też nie padało. Chociaż po niebie przesuwaly się czasem groźne chmury. Nasze prawie wszystkie maluchy, bawiły się zgodnie przed kapliczką. Chłopcy może byli nieco bardziej bojowo usposobieni, ale dziewczynki pięknie się same sobą zajmowały.

Ojciec Henryk w pięknych słowach omawiał to co w życiu jest najcenniejsze, podając przy tym bardzo ujmującą historię o kobietach wynoszących na swych barkach z obleganego miasta to co miały najlepszego... swych mężów. No bo i tak chyba w życiu już jest. Że najcenniejsza jest chyba ta bratnia dusza, z którą się dzieli i szczęście i łzy.

Przyszła teraz pora na duże grupowe zdjęcia i przy kaplicy, jak i na długich do niej prowadzących schodach. Szkoda tylko że zapomnieliśmy zabrać ze sobą ten długi transparent z V Zjazdem.

Program mieliśmy na ten dzień dość bogaty, bo zaraz po mszy czekały nas wybory do nowego Zarządu Stowarzyszenia. Z poprzednich zjazdów już wiedzieliśmy, że to się potrafi czasem przeciągać. Ale tutaj chyba chytre ustawienie tego terminu tuż przed obiadem, uskrzydliła nasze serca do mężnych i napawających nadzieją decyzji.

Do grona Zarządu weszły dwie nowe i co tu jeszcze ważniejsze, młode i pełne zaangażowania osoby. To Adam Kołodziej, syn Józefa z Krakowa, oraz Darek Szargot z Wrocławia.

Wybory przeszły więc po początkowych próbach dzielenia włosa na 4 czy nawet 7 części, prawie że bezboleśnie. Tu wielki ukłon w stronę nowego Zarządu z serdecznym życzeniem udanej i owocnej pracy.

Krótko po obiedzie mamy ruszać na wycieczkę gondolami na szczyt góry Jaworzynki. Więc trzeba się uwijać by się wyrobić w czasie. Ja jak to już wcześniej wspomniałem, chcę z Leszkiem Dońcem przejść szlakiem do następnego schroniska PTTK na Bacówce, i potem zejść do Szczawnika. Zabieramy się wszyscy chętni na wycieczkę naszymi autami, i jedziemy na parking pod stację kolejki. Tu jeszcze tylko kupienie biletów, część postanawia zejść pieszo z Jaworzynki, inni będą wracać też wyciągiem.

I tak po 4 lub 5 osoby wjeżdżamy gondolami na szczyt Jaworzyny. Pogoda nie jest zbyt zachęcająca, bo chmury są nisko i w oddali słychać pomruki burzy. Robimy tu sobie kolejne zdjęcia i już tylko we dwójkę z Leszkiem ruszamy dziarsko na szlak. Najpierw idziemy szlakiem czerwonym, tym beskidzkim, ale po jakiejś godzinie schodzimy na przecinający go szlak niebieski. Tak, że po dobrej godzinie z "hakiem" lądujemy totalnie mokrzy od potu, na Hali Bacówka. Panorama jest tu piękna, w dniu gdy jest lepsza widoczność to pięknie widać Tatry. Tym razem mamy mniej szczęścia.

Na około ciągle grzmi burza, ale jest na szczęście dosyć sucho. Siadamy sobie na ławach, delektując się roztaczającym stad pięknym widokiem Beskidów. Zachęcam wszystkich by się tam kiedy wybrali, by powdychali nie tylko świeżego powietrza, ale by przede wszystkim chłonęli całym ciałem to otaczające piękno.

Zmieniam zaraz zupełnie mokrą koszulę na suchą z plecaka. Wdziękam na to kurtkę i... i właśnie teraz następuje uroczyście wyciągnięcie tych rzeczy, po które koło 7-ej rano poszedłem nad Czarny Potok. Po półtorej godzinie dość forsownego marszu, oboje mamy ochotę i na piwko i na pyszną swojską kielbasę wiejską z bulką. Mniam... mniamm mniamm

A pod nami uciekający w kierunku Wierchomli stok prowadzi nasze myśli coraz to dalej i dalej...

Koło 18-tej godziny, gdy widzimy że z zachodu już nic nie będzie, postanawiamy ruszyć do Szczawnika. Leszek sprawdza jeszcze tylko w Internecie (sic!), o której mamy autobus... o 19:15 Ufffff to trzeba się zbierać.

Idziemy szybkim krokiem rozmawiając o naszych przygodach na szlakach, o pracy i ... mydle i powidle.

Ładujemy w Szczawniku dokładnie 5 minut przed 19:00, więc już spokojnie maszerujemy do następnego przystanku, bo autobus zostawiliśmy na pętli. I tak to za 2.20 zł od osoby dojeżdżamy komfortowo na przystanek przy Czarnym Potoku, skąd mamy zaledwie tylko jakie 10 minut do przejścia do Ośrodka.

Życie jest piękne....

Kolacja przeleciała nam właściwie koło nosa, bo nie ma nic ciepłego. Marzyła mi się, nawet nie wiem czemu, cały czas ciepła zupa. Choć tak prawdę mówiąc nie mieliśmy z Leszkiem chyba zbyt głodu. Fajny z niego kompan na szlaku.

Zmyłem z siebie ten cały pot i zmęczenie, założyłem świeże rzeczy i hajda do ogniska.... No bo to przecie kolejny punkt dnia! Już się tu trochę luda kręciło, stojąc wokół ognia i smażąc kiełbasy. Mnie już to nie bierze, ale widzę że panie obsługujące smażą na małym ruszcie oscypki. Tego to ja już przepuścić nie mogę... pajda chleba ze smalcem w jednej ręce, a widelec z gorącym oscypkiem w drugiej. A piwko stoi tuż obok.

To życie jest tak piękne....

Jest już nas coraz więcej i więcej. Powoli się chyba rozeszło, że ognisko już "leci" i jak te ćmy do ognia, schodzimy się zwolna.

Po pierwszym zaspokojeniu głodu, rozdane zostały śpiewniki, ułożone przez Lucynę i Józka Kołodziejów. I dzięki im za to wielkie, bo pomoc to była niebywała. Utworzyły się jakby dwa skrzydła śpiewające na różną modłę. Po jednej stronie uformowała się silna grupa wokół osoby ojca Henryka, który tu najwyraźniej dominował i głosem i zasobem znanych pieśni. A po drugiej ukształtowała się nieco skromniejsza grupka, wokół Dagny Feliks i Agnieszki Doniec. Tu było skoczniej i tak bardziej po góralsku, tak z przytupem.

Aż gardła nas bolały od tego wspólnego biesiadowania. I tak koło północy ostatni schodzili do pokoi, by dać ponieś się tym razem marzeniom sennym.

Niedziela 01.08.2010

A że ponoć wszystko co dobre, kiedyś się skończyć musi. Przyszła i na nas pora. Już o 5-tej obudziłem się, dużo za wcześnie. Ale nijak nie mogłem już zasnąć.

Cóż począć w takiej chwili? Ano spakowałem się po cichu, by nie zbudzić Mamy. Jak i to było skończone, wziąłem tedy książkę Michała Kruszonego "Rumunia" i zacząłem ją dalej

czytać. Fajnie się ją czyta. Tego samego autora książkę pt. "Huculszczyzna" połąnałem już tydzień wcześniej. W obu przypadkach mogę te pozycje polecić.

I tak jakoś doczekałem do pory śniadaniowej, do ostatnich wspólnych chwil, do ostatnich naszych rozmów i pożegnań.

Dziękuję Wam wszystkim za udane spotkanie, za przyjemne chwile w Waszym gronie.

I do następnego Spotkania

Witek